
V
B
J
D

WYDAWNICTWO KRAKOWSKIEGO TOW. OŚWIATY LUDOWEJ.

MODLITWA ZA BISMARKA

OBRAZEK

Z DZIEJÓW CHŁOPA POLSKIEGO W PRUSIECH.

NAPISAŁ

J. K. MAĆKOWSKI.

KRAKÓW.

Nakładem Krak. Tow. Oświaty Ludowej.

Główny skład w księgarni „Spółki Wydawniczej polskiej".

1902.

Modlitwa za Bismarka.

WYDAWNICTWO KRAKOWSKIEGO TOW. OŚWIATY LUDOWEJ.

MODLITW[illegible] BISMARKA

OBRAZEK

Z DZIEJÓW CHŁOPA POLSKIEGO W PRUSIECH.

NAPISAŁ

J. K. MAĆKOWSKI.

KRAKÓW.
Nakładem Krak. Tow. Oświaty Ludowej.
Główny skład w księgarni „Spółki Wydawniczej polskiej“.
1902.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie
pod zarządem A. Szyjewskiego.

MODLITWA ZA BISMARKA*)

— Matulu! matulu! ja jutro nie pójdę do szkoły!

— A to czemu, mój synu?

— A bo to jutro nie będzie nauki, jeno *fest* dla Bismarka.

— Dla Bismarka?

— A jakże! — Powiedział nauczyciel, żeby się każde z nas porządnie, niby do kościoła, ubrało, bo to wielki *fest* jutro, jako że Bismark jutro ośmdziesiąt lat skończy i w całym kraju będą te urodziny pięknie „obchodzone“.

Zamiast odpowiedzi — głuche westchnienie z głębi piersi pochodzące, podobne do jęku, potem cisza chwilowa.

---

*) Książę Otto Bismark, ur. w r. 1815, minister spraw zagranicznych i prezes ministrów pruskich, od r. 1871 kanclerz cesarstwa niemieckiego, zwany „żelaznym księciem“, bo „krwią i żelazem“ — jak mawiał — zmierzał do celu, nie przebierając w środkach; zmarł w roku 1899.

Rozmowa ta toczyła się w izbie chaty, położonej za opłotkami wiejskiemi, należącej do najzamożniejszego we wsi gospodarza, Bartłomieja, a przeznaczonej dla jego komorników. Izba była nizka, o jednem okienku, obejmowała ledwie kilka metrów kwadratowych; otwarty komin zastępował zarazem piec i kuchnię; słowem, była to izba, jakich pełno po wsiach naszych. Urządzenie jej było bardzo proste, ubogie: stół, kilka stołków, dwa obrazy na ścianie: Matka Boska i Ukrzyżowany Zbawiciel, pod oknem skrzynia pomalowana w jaskrawe kwiaty na błękitnem tle, na kominie kilka garnków, a na półce miski, parę kubków glinianych i kilka łyżek cynowych; w kącie stało łóżko. Na tem łóżku leżała na lichej pościeli blada, wynędzniała kobieta, z widocznymi na twarzy i ciele śladami tej strasznej choroby, która ofiary swe długo dławi w bolesnych uściskach, zanim je do grobu wtrąci, a często, jakby na szyderstwo, złudnym rumieńcem czerstwości i zdrowia twarz im pokrywa. U tej chorej atoli rumieniec znikł był już zupełnie, ustąpił miejsca niemal trupiej bladości, która przepowiadała blizki koniec. Odbijały od niej krucze czarne włosy, wydobywające się w nieładzie z pod starego czepca, takież brwi i oczy, pałające chorobliwym blaskiem, nie rzadko spotykane u suchotników. Wieku chorej nie łatwo było odgadnąć; rysy twarzy zanadto już zmieniła

choroba; jednakże kolor włosów, nie dotkniętych siwizną, uprawniał do przypuszczenia, że chora czwartego krzyżyka jeszcze nie skończyła. W młodości swej musiała to być piękna kobieta; dziś naturalnie z dawnej krasy prócz regularności rysów i dużych wyrazistych oczów nic nie pozostało. Ręce jej, już tylko kości, pokryte bladą, miękką, przeźroczystą niemal skórą, wyciągnięte na pierzynie, trzymały różaniec z czarnych paciorków, z żółtym, mosiężnym krzyżykiem. W tej chwili oczy chorej zwrócone były ku lewej stronie łóżka, gdzie stał trzynastoletni spory chłopiec, ubogo ale chędogo ubrany. Na stołku przy stole siedziała o rok młodsza dziewczynka; obierała ziemniaki na wieczerzę. Marcowe słońce chyliło się ku zachodowi; ostatnie jego czerwone promienie, przekradłszy się przez zielone szyby okienka, tęczowym blaskiem oblały twarz chorej. Ktoby jej się był przyjrzał w tej chwili, byłby musiał odrazu dostrzedz, że przebija się z niej nietylko dotkliwy ból ciała, ale i może gorszy jeszcze ból serca.

Chłopak stał, oczy wlepił w twarz matki i czekał na odpowiedź.

Po chwili chora ciężko zakaszlała, poczem odezwało się w piersi świszczące rzężenie. Dopiero gdy ucichło, odezwała się słabym głosem:

— A jednak, pójdziesz synku, musisz iść, boby cię znowu na karę zapisali, a z czegobym ja biedną

zapłacić miała? Jeszcze wiele, że pozwolą Maryśce w domu siedzieć przy mnie. Nie, Stachu; już iść musisz, choć to Bismarka urodziny. Mój Boże miłosierny — dodała po chwili, a dwie łzy spłynęły jej po twarzy — jakże długo ten człowiek żyje! a nasi przez niego tak rychło pomarli! Oj! ma on ich na sumieniu, ma! odpowie za nich i za i za naszą niedolę przed Bogiem, ale ty synku do szkoły iść musisz, bo biedna matka nie może już zarabiać tyle, aby kary za was płacić mogła...

— Chętniejbym poszedł do Bartłomieja na robotę; tambym i złotówkę zarobił i byłoby na okrasę dla was. A przecie, gdy kary nie zapłacicie, to do więzienia was wziąść nie mogą za moją żmudę, kiej was, matko, Pan Bóg taką chorobą nawiedził.

— Abo to oni zważają na niedolę ludzką, na chorobę? — odrzekła chora, a już z głosu samego wielka przebijała się gorycz — powiedzą ci, że tak stoi w prawie, co ten Bismark je wydał na lud polski, no i zabiorą ci wszystko, co masz, a i chorego do więzienia wezmą. Dość się oni nachodzili do naszej chaty, dość nabrali różnego dobra, aż nas wreszcie do żebraczego kosztura przywiedli. Toć i twój ojciec chory był we więzieniu, a jednak go nie puścili, aż umarł, aż mi po jego ciało przyjechać kazali!... Oj! ten Bismark! ten Bismark!

Tu całe ciało chorej zadrgało kurczowo, ręce

silniej się splotły około mosiężnego krzyżyka, a z piersi wydobyło się głośne, chrapliwe szlochanie. Łzy spływały po jej bladej, wynędzniałej twarzy.

Dzieci z krzykiem i płaczem rzuciły się do łóżka matki i zawtórowały jej cienkimi, dziecięcymi, głosikami.

— Nie płaczcie, matulu — wołała przez łzy mała Maryśka — nie płaczcie matulu, bo mi się serce kraje. Już Stach pójdzie do szkoły, już się Bóg zlituje nad nami, jeno wy matko nie płaczcie, bo my na to patrzeć nie możemy.

— Już pójdę, pójdę! niech się dzieje co chce, jeno nie płaczcie — szlochał i Stach, a uchwyciwszy bladą rękę chorej, gorąco całować ją zaczął.

Chora podniosła drugą rękę, jakby chciała ją położyć na głowie syna, ale siły jej na to nie pozwoliły. Spuściła ją na pierzynę; jeno oczy jej spoczęły na dzieciach, a w tych oczach malowało się tyle macierzyńskiej miłości, że jedno ich spojrzenie starczyło za setki słów pieszczotliwych.

Powoli wszyscy troje się uspokoili. Matka zakaszlała znowu, potem pierwsza przemówiła:

— Wiedziałam, Stachu, że mnie usłuchasz i pójdziesz, boś dobre dziecko, i nie chcesz, aby matka z twej winy cierpiała jeszcze bardziej. Dobrzeby wprawdzie było, żebyś co zarobił, boć

od tygodnia przeszło jeno ze solą ziemniaki jemy, ale już wolę głód cierpieć, byle tylko oni mi znów do chaty nie przychodzili. Gdy ich widzę, to zaraz stare rany się otwierają, serce pęka z boleści. Niech mi już spokój dadzą, i gdy mi tyle zabrali, niech mi choć umrzeć pozwolą spokojnie. Długo to już i tak nie potrwa, moje dzieci! Ale nie płaczcie — dodała żywo, widząc, że dzieci znów szlochać zaczynają — nie płaczcie! Snać to już taka wola Boża. Gdy mnie nie będzie, to już sam Bóg jako wami się zaopiekuje i zmarnieć wam nie da. Toć żyję jeszcze i patrzę na was i cieszę się, że mi Pan Bóg dał na pociechę w niedoli takie dobre i posłuszne dzieci. Zresztą ty, Stachu, już sam sobie dasz radę, gdy cię na św. Michał ze szkoły wypuszczą; u Bartłomieja znajdziesz robotę i strawę; a i Maryśkę on weźmie, sam mi przyrzekł. Ale właśnie dlatego iść musisz jutro do szkoły, boby cię jeszcze za karę nie puścili na św. Michał i dłużej byłbyś Bartłomiejowi ciężarem. Ja już tam twej pomocy potrzebować nie będę, ale dla was samych lepiej będzie, gdy choć jedno na chleb sobie zapracować będzie umiało...

— Eh! matulu, mnie oni dłużej w szkole zatrzymać nie mogą, jak Bartłomiejowego Franka, bo go dla tego zatrzymali, że niemieckiego ani rusz zrozumieć, ani gadać nie umiał, choć codziennie go bili... Ja po niemiecku umiem, a że

zaraz po św. Michale skończę lat czternaście, to mnie puścić muszą.

— Nikt ich do tego przymusić nie może, Stachu; nikt. Ten Bismark wszystko może zrobić, co jeno zechce, a my biedni tylko słuchać i cierpieć musimy. Snać taka to już wola Boża!

— A jakże też Pan Bóg na to pozwolić może, że biedni ludzie tak cierpieć muszą, kiedy ten, co tyle ludzi pomarnował, żyje tak długo i honory zbiera i tak dobrze mu na świecie. Toć to...

— Cicho Stachu! cicho! — przerwała matka z pośpiechem, ale i z widocznym wysiłkiem, bo dzisiejsza rozmowa i przebyte wzruszenia bardzo ją osłabiły — nie bluźnij! Czy to już nie pamiętasz, co ci ksiądz proboszcz na nauce powiedział, że nie masz się pytać Pana Boga, po co to i na co tak, a nie inaczej zrządził! Bóg wie dobrze, co ludziom potrzeba i co dobre dla nich! on jeszcze i od niego zażąda rachunku, a nas biednych... tam... na tamtym świecie... nagrodzi światłością wiekuistą!...

Głos chorej słabł coraz bardziej i ostatnie słowa wymówiła już tylko szeptem. Twarz jej przybrała wyraz nadziemskiego jakiegoś rozjaśnienia; usta poruszały się, jakby w modlitwie, a palce przesuwały wolno paciorki różańca.

I znów cisza na chwilę zapanowała w izbie,

przerywana szelestem, jaki sprawiała Maryśka przy obieraniu ziemniaków.

Stach siedział przy łóżku na stołku i ciemne, podobne do matczynych, oczy wlepił w podłogę w głębokiem zamyśleniu. Na wyrazistych rysach jego przebijała się teraz dziwna jakaś zawziętość, połączona z uporem. Łatwo można było poznać, że gdyby nie choroba i łzy matki, nie byłby tak rychło od oporu swego ustąpił, że żal mu tego kroku, i że wciąż jeszcze złe myśli przesuwają mu się po głowie, że knuje w niej zamiary, których jeno ze względu na stan matki wypowiedzieć się obawia.

Tymczasem słońce zaszło, chora leżała spokojnie i poruszała ustami, odmawiając różaniec. Maryśka rozniecila ogień, aby uwarzyć strawę wieczorną i siedziała pod piecem, patrząc w zadumaniu w rozpryskujące się w płomieniach gałązki sosnowe. Nagle podniosła głowę, spojrzała na brata i odezwała się półgłosem, nie chcąc przeszkodzić matce:

— Jeśli to będzie taki *fest*, jak cesarskie urodziny, to pewnie już wczas przed południem puszczą was do domu?

— A pewnie! — odmruknął zagadnięty.

— To i tak możesz iść do Bartłomieja na zarobek. Był on tu wczoraj i pytał się o ciebie. Teraz roboty dużo, a ludzi mało, bo do Sasów

ciągną. Gdybyś tak przyniósł złotówkę — tu głos zniżyła bardziej jeszcze — możnaby kupić dla matuli coś lepszego, niż te ciągłe „perki“ ze solą...

Stach podniósł głowę, spojrzał ukradkiem na chorą, potem ku siostrze, i zamiast odpowiedzi kiwnął tylko potakująco głową. Potem znów cisza zaległa izbę i tylko od czasu do czasu przerywał ją trzask płomieni i suchy kaszel chorej.

* * *

Leżąca na łóżku chora kobieta nie zawsze była taka cierpiąca i blada; pamięta ona lata, w których jaśniała krasą, czerstwością i zdrowiem, w których uśmiechała się do życia, a życie do niej. Była ona córką gospodarza z „Królestwa“, który, straciwszy przez różne okoliczności swą zagrodę, po śmierci żony przybył z córką jedynaczką za chlebem „do Prus“. Sądził, że tu łatwiej znajdzie dobry zarobek i nie omylił się, bo wnet go przyjęto w Bieszczycach za trzeciego włódarza, a córkę jego na służbę do dworu.

I dobrze się obojgu działo w tej służbie, bo państwo byli zacni, ludziom nie dokuczali, nie żądali, aby służba dla nich na śmierć się zamęczała, a dobrze płacili. Było dobrze staremu, a jeszcze lepiej jego córce, która tam znalazła to, za czem często wzdycha zarówno panna w pokojach, jak

dziewka w czeladnej izbie: znalazła nietylko czepiec, ale i szczęście małżeńskie pod czepcem. A do tego jakiego jeszcze męża! Był to pierwszy woźnica pański, zwany zwykle „forczpanem“ — dla „lepszego“ zapewne brzmienia — chłopak jak malowany, w galonowej czapce nad uchem, z wejrzeniem zucha. Trzeźwy i oszczędny, uciułał on już sobie sporą sumkę z napiwków i zasług. Zadobrze mu było widocznie w pańskiej służbie, bo zapragnął mieć jeszcze lepiej, zapragnął własnego chleba, no i krótko po ślubie podziękował za służbę, kupił w sąsiedniej wsi szmat roli, konia i dwie krowy i stał się gospodarzem całą gębą. A choć z małym kapitałem poszedł na swoje, wiodło mu się nie najgorzej; spłacał długi i coraz weselszy spoglądał w przyszłość. Teść tymczasem pozostał jeszcze na pańskiem, lecz widząc, że zięciowi dobrze się powodzi, poszedł „do dzieci“. Stary znalazł tam raj prawdziwy, bo nietylko jego Antka była dobrą, wdzięczną córką, ale i Walek Kępa lepszym od niejednego rodzonego syna. Pomagał im stary w gospodarstwie, a zato miał jadło dobre i wygody i poważanie ojcowskie, a gdy Bóg dał wnuczki, to i radości przybyło, boć wiadoma rzecz, jak to starzy lubią pieścić i piastować swoje wnuczęta. Tak tedy było mu u dzieci, jak u „Pana Boga za piecem“, a że się dużo w świecie nakołatał, nacierpiał i nasmucił, więc za tę pociechę

na starość nigdy dosyć Panu Bogu nadziękować się nie mógł. I tak żyli ci ludzie spokojnie, szczęśliwie, choć w pracy i znoju, aż Bogu spodobało się zesłać na nich ciężkie doświadczenia przez... Bismarka.

Wydano oto owo rozporządzenie, że ci, którzy są z „obcego kraju“, znów za granicę wynosić się mają, wrócić tam, skąd przyszli. I zaczęto tych biedaków wyganiać bez litości, ojca od dzieci, brata od brata, męża od żony; płacz ludzki rozlegał się w dzień i w nocy z setek chat i zagród. Ludziska pojąć tego nie mogli; Polak z pod starego Krakowa lub z pod rosyjskiego rządu, stanąwszy na wielkopolskiej ziemi, sądził zawsze, że jeszcze na własnej stoi, a tu Bismark powiedział: precz! to nasza niemiecka ziemia! I tysiące ogniw prysło, tysiące serc w strasznym bólu się rozdarło. Ano, trudna rada, snać się tak Bogu zrządzić podobało, a wola Jego święta! Spotkało to nieszczęście i ojca Antki. Wiedzieli oni już z gazetki, którą mąż Antki trzymał do spółki z kumem Bartłomiejem, że takie prawo wydano, ale jeszcze tego dobrze nie zrozumieli i ani nie przypuszczali, iżby ono i nad nimi tak srogo zaciężyć miało.

Aż tu pewnego dnia przychodzi pismo od *landrata**), aby stary ojciec Antki w ciągu trzech

*) Landrat: naczelnik powiatu.

dni wyniósł się za granicę, jako niby nie tutejszy poddany. Sądny dzień nastał wtedy w chacie Antczynej. Chłop jej biegał z pismem od wójta do komisarza, od księdza proboszcza do dziedzica, ten nawet wsiadł na bryczkę i wraz z nim pojechał do pana *landrata*, aby łaskę dla starego wyprosić, ale wszystko na próżno. Nagadali się obaj, aż ich gardło bolało, że przecie stary wiekować nie będzie, że już ani zarabiać dobrze nie potrafi, że przecie nic przeciwko królowi, ani przeciw Bismarkowi złego nie uczynił, że, gdy go wypędzą, nie będzie miał gdzie głowy złożyć, ale było to tak, jakby kto groch na ścianę rzucał. Pan *landrat* na wszystkie prośby jedno odpowiadał: *Kann nicht*, (nie mogę) — no i na tem się skończyło. Stary przez ten czas chodził jak obłąkany, tak dziwnem mu się to wszystko wydawało. Co on zrobił takiego, biedak nieszczęśliwy, że go chcą wypędzić; przecie nie zabił nikogo, ani na mieniu nie skrzywdził; do karczmy nie chodził, żandarmowi się nie stawiał, a jednak chcą go precz wygnać z tego raju, który mu Bóg co dopiero otworzył. Były chwile, że śmiał się jakimś dzikim, nieludzkim śmiechem i groził: „Niechno przyjdą! zobaczymy! A jak nie pójdę, to co? Rękami się przyźby uchwycę, nogi w ziemię wkopię; niech mnie zabiją, a nie pójdę!“

Ale gdy po trzech dniach żandarm przyszedł

i spojrzał groźnie i zapytał się, dlaczego to jeszcze stary nie opuścił „niemieckiej ziemi“, odeszła go ochota do oporu. Zaczął stary bluźnić, aż Antka w niebogłosy zapłakała, i sobie i dziatkom uszy zatykała, a potem gdzieś poszedł i nie pokazał się więcej.

Na obiad nie przyszedł, ani na wieczerzę, a gdy go szukać poczęto, znaleziono starego na poddaszu, wiszącego u belki, ze strasznie wyłupionemi oczyma. Było w tych oczach coś tak strasznego i okropnego, jakby przekleństwo i wołanie o pomstę do nieba, że nawet groźny żandarm, który właśnie pod ten czas znów był przyszedł zapytać się o starego, odskoczył ze strachu, choć dość już wisielców widział w życiu. Odcięto starego, cucono, ale napróżno; wreszcie pochowano go po cichu, jako takiego, co nie katolicką śmiercią skończył. Co to Antka przy tem dokazywała, tego już opisać nie zdołam, choćbym chciał. Któż to bowiem potrafi opisać, jak się dusza w człowieku na poły rozrywa? Toć to jeno Bogu dobrze wiadomo; On duszę daje i tylko On ją widzi Boskiemi oczami.

I z mężem Antki stała się zmiana; i jego ten cios ciężki dotknął do żywego. Ze swobodnego, wesołego, stał się posępny, zgryźliwy. Antkę zaledwie słówkiem pocieszył, a jeno czuł potrzebę skarżyć się przed innymi na niesprawiedliwość,

jaką staremu i jemu wyrządzono. Chodził więc częściej do karczmy, bo tam zawsze znajdował ludzi, którzy go słuchali, i tak mu polityka w głowę wlazła, że już o niczem innem gadać nie potrafił. Tam zaś na sucho się takie gadanie nie odbywa, więc i Walek niekiedy porządnie sobie rozum przypruszył.

Przysłowie mówi, że nieszczęście nigdy samo nie przychodzi, jeno zawsze drugie za sobą wlecze. Tak było i z mężem Antki. Razu pewnego, gdy sobie w karczmie tęgo podchmielił i ową polityką nieszczęsną się rozpalił, zaczął strasznie wymyślać na Bismarka, jako niby na sprawcę śmierci teścia. Słuchaczom, co który był trzeźwiejszy, aż włosy na głowie stawały, bo w drugiej izbie siedzieli przy piwie żandarm i nauczyciel, którzy obaj, jakkolwiek Niemcy, dobrze po polsku rozumieli. Zaraz też spisali wszystko, co mąż Antki na Bismarka nagadał, zapisali też i świadków i wszystko posłali do sądu.

Nie długo trwało, a Walek dostał pozew, potem termin wyznaczono, a że w owych czasach za obrazę Bismarka prawie tak karali, jak za obrazę cesarza, Walek zaś ciężko Bismarka obraził, więc skazano go na rok więzienia, i zaraz wprost ze sądu zabrano do kozy, z obawy, że mógłby uciec przed karą. Antki w sądzie nie było, bo leżała w domu chora, spodziewając się błogosła-

wieństwa Bożego po raz trzeci. Wiadomo, że kobiecie w tym stanie nic wiele złego potrzeba, aby ją na tamten świat wyprawić. To też i Antka jeno z biedą uszła śmierci. Urodziło się to maleństwo, ale wnet je zakopano na cmentarzu, zaś Antce przyszła z tej niemocy inna choroba, która jej już nie opuściła i na którą oto teraz dogorywała w kącie.

I znowu naprożno siliłbym się opisać, co się działo z jej mężem, gdy się o tem w więzieniu dowiedział. Chciał, aby go puszczono do domu, ale mu powiedziano, że musi wpierw złożyć wielką sumę jako zastaw. A była to suma taka, że całe gospodarstwo Walka tyle nie było warte. Więc nie mając jej, nie mógł uzyskać choć na dzień jeden wolności, jakkolwiek na kolanach błagał o to panów urzędników. Odmowa tak go rozsierdziła, że zaczął potem strasznie dokazywać, niby szalony lub opętany: krzyczał, szamotał się, zaś w nocy aż trzy cegły z pod kraty w oknie wyłamał, aby chociaż tą drogą dostać się na wolność i do żony. Snadnie to nad ranem spostrzeżono, zwłaszcza, że Walek do takiej pracy nie był wprawny i nie umiał śladów jej ukryć; więc mu nogi i ręce włożono w obręcze żelazne, co łańcuszkami były ze sobą powiązane, i zamknięto go o chlebie i wodzie do ciemnej celi, jak to

zwykle się dzieje z tymi, co z pod karności więziennej się wyłamują.

A przecie chłop ma takie samo serce, jak pan najdostojniejszy, i tak samo odczuwa ból lub radość, smutek lub wesele.

Twierdzą wprawdzie różni mędrkowie, że chłop polski twardą ma skórę i zniesie z łatwością trzy razy tyle złego, co człek innej narodowości, nim go niedola złamie, ale niewiele w tem prawdy, choć pozornie tak sądzićby można. Sam widziałem w więzieniu chłopków polskich, takich co siedzieli za karę i takich, których niewinnie trzymano po kilka miesięcy w śledztwie, zanim się ich niewinność na rozprawie wydała; byli między nimi i tacy, którzy w domu pozostawili żony i dzieci chore lub w ciężkiej nędzy. Na pozór nie było po nich widać, żeby ich to bolało, lub żeby ich tęsknota trapiła; niby zimni i obojętni, zjadali z wybornym apetytem ogromne misy grochu lub pęcaku, nietylko te, które dla nich przynieslono, ale i te, których słabsi od nich dojeść nie mogli; mogłem był sądzić, że dobrze im z tem było. A jednak w głębi ich duszy robak boleści gryzł, gryzł i doskwierał tak, że często, gdyś z boku na nich spojrzał ukradkiem, dostrzedz mogłeś, jak taki lub owaki obcierał kułakiem oczy, które łzami mu zaszły. Są też między nimi i tacy, którym mierznie jadło więzienne, którzy w oczach

marnieją i marnie giną za kratą, zanim słonko wolności życie w nich rozgrzeje. Do tych należał i Walek. W ciemnej celi straszna niewola jeszcze czarniejszą mu się wydawała, a żaden promień słoneczny jej nie rozjaśnił. Gdy oczy nic widzieć nie mogą, wtedy dusza tem lepiej widzi, więc w tej ciemnej celi i dusza Walka widziała jak na dłoni całą rozpacz i nędzę Antki i jej dzieci. Ciało, jak ciało, zdrowe i silne, jak zwykle u polskiego chłopa, wytrzymałoby i lat dziesięć może takich katuszy, ale rozum, ta pajęczyna krucha, na której człek niejeden całe życie swoje chce zbudować, rozum nie wytrzymał. I stało się z Walkiem, że po tygodniu takiej męki zapadł na ciężką chorobę, na zapalenie mózgu. Przeniesiono go wtedy do jasnej celi o dużych oknach, do szpitala więziennego, gdzie takich, jak on, leżało czternastu. Kto takiego lazaretu więziennego nie widział, nie zdoła sobie wyobrazić, jak człowiekowi na sercu, gdy doń wejdzie. Biedacy niektórzy ledwie dyszą, a jeszcze za kratami, jeszcze są zamknięci. Już i zdrowemu brzmi w uszach strasznie, gdy za nim drzwi na klucz i rygle żelazne zamykają, choremu zaś stokroć żałośniej to dźwięczy, niby tak, jakby nad nim już wieko trumny przybijano. Było w tej sali więcej takich, którzy słusznie cierpieli za swe winy nietylko ludzką, ale i bożą karę, ale byli też i tacy, którzy nie wiedzieli za co cierpią, tym zaś było

najgorzej. Jest w takich lazaretach więziennych wszystko, co potrzeba; jest czystość, są leki i opieka lekarska, jest światło i jadło odpowiednie, jakiego niejeden z tych chorych nigdy w życiu nie miał, a jednak wszyscy smutni, jakby już dziś lub jutro skonać mieli. Bo te kraty w oknach, i te drzwi na klucz i rygle zamknięte, zdają się mówić do nich: nie wyjdziecie stąd żywi, bo kto raz tu wejdzie, ten już słońca wolności nie ujrzy!

Ot, i z naszym Walkiem tak się stało! Przeleżał on w tej sali może tydzień, o Bożym świecie nic zgoła nie wiedząc. W strasznej gorączce zrywał się co chwilę i wrzeszczał i szalał, aż go przywiązano do łóżka, aby sobie przez to szamotanie co złego nie zrobił. Ale widocznie przyszło mu w tej gorączce takie widzenie, że sądził, iż Antka i dzieci wołają go do siebie, i że to jeszcze te obręcze żelazne trzymają mu ręce na uwięzi, bo raz nagle wyprężył się cały, szarpnął z nadludzką siłą, zerwał więzy trzymające go w łóżku, i wołając: „Już idę, Antka! już idę!“ wypadł z ogromnym hałasem na podłogę. Gdy na wołanie innych chorych nadszedł dozorca, Walek już nie żył. Pękło mu coś w mózgu, i zdala od swoich, w więziennym szpitalu, oddał Bogu starganą duszę. — A może i lepiej, bo była obawa, że mu się przez tę chorobę rozum zupełnie pomięsza...

* * *

Na tem nie koniec. Nowe nieszczęścia jęły teraz samą Antkę nawiedzać. Rok, w którym się to wydarzyło. był wogóle pierwszym złym rokiem na Walka własnem gospodarstwie. Było o czem myśleć i głowę sobie łamać i bez innych kłopotów, a gdy i te spadły na Antczyną głowę, już się złemu obronić nie zdołała. Proces Walka pociągnął za sobą, jak na ich stosunki, ogromne koszta. Do tego przyłączyła się choroba Antki, brak rąk do pracy, i brak dopatrzenia, no i wszystko poszło na marne. Przychodzili egzekutorzy jeden po drugim, brali „w imieniu prawa“, co wziąść mogli, aż wreszcie sprzedano zagrodę i chałupę, a chorą Antkę wraz z dziećmi i resztą sprzętów domowych wyrzucono na ulicę. Zlitował się nad jej niedolą sąsiad, Stacha chrzestny, a zmarłego przyjaciel, Bartłomiej, jako to w polskim chłopie dobre jest serce dla bliźniego cierpiącego, i przyjął ją do siebie za komornicę, choć się wielkiej pracy po niej spodziewać już nie mógł.

Z początku Antka chodziła jak bez czucia, tak, że i o jej rozum się obawiano. Osłupiałym wzrokiem wodziła po dzieciach, po brudnej izbie, po ludziach, i całemi godzinami siedziała na przyźbie, i patrzała w stronę miasta, jakby ciągle jeszcze spodziewała się powrotu męża, choć przecie sama

na wezwanie władzy martwe jego ciało z więzienia przywiozła i rzuciła pierwszą grudkę ziemi na jego trumnę. Gdyby nie poczciwy Bartłomiej, byłaby w tych pierwszych dniach wraz z dziećmi z głodu zginęła.

Później jednak przyszło na nią upamiętanie. Spojrzała wtedy na dzieci, i na odwrót, jak się wzięła do pracy, do zarobku, to pracowała za trzy inne zdrowe baby, dopóki ta robota i choroba nie ścięły jej z nóg zupełnie. Leżała ona teraz w ciężkiej niemocy już od miesiąca, co parę dni krwią pluła i strasznie się męczyła. Poczciwy Bartłomiej z głodu jej umrzeć nie dał. Nie wyrzucił jej z domu, jakby to był może kto inny uczynił i jeszcze jej przysłał to ziemniaków trochę, to chleba bochenek i okrasy kawałek, często brał jej dzieci do pomocy przy lżejszej robocie, i zawsze im płacił za to uczciwie, aby biedna chora i gotowy grosz miała w chacie. Cóż więcej można było wymagać od niego, który przecie też miał dzieci dużo, a przy ogólnej biedzie niewielkie dochody.

Możeby Antce lepiej było w tej niedoli, gdyby dawni jej państwo mieszkali byli jeszcze w sąsiedztwie. Ale sprzedali oni swój majątek jakiejś tam *komisyi*, którą także ten Bismark wymyślił przeciwko ludowi polskiemu. Bartłomiej wyczytał raz w gazecie, że państwo to nazwano zdrajcami,

jako niby, że skurczyli ziemię ojczystą i Antce zaraz o tem powiedział. Ale biednej kobiecie w głowie się pomieścić nie chciało, ani mogło, iżby tacy dobrzy państwo zdrajcami być mieli. I czy też oni naprawdę z biedy wieś swą sprzedali, jak Bartłomiej mówił? Przecież, kiedy Antka u nich służyła, żadnej biedy widać tam nie było, jeno dostatek, nawet łakocie takie, o których to chłop ani wie, a któreby mu też wcale nie smakowały. I jakże to, mając taką dużą wieś, tyle koni, bydła i owiec, biedę mieć można? Toć tego, co taka wieś wyda i sto ludzi w roku przejeść nie zdoła, choćby od rana do nocy siedzieli za stołem. Przecież ten Kunz czy Kunze naprzykład, Niemiec, co to od dawna dzierży sąsiedni mały folwarczek, zbija talar do talara i chłopom wypożycza, i już bez mała całą wieś ma w swem ręku. I to taki Kunze, który ludziom suchego kawałka chleba nie użyczy, za każdą szkodę odciąga, za każdą słomkę, lub ziemniak lichy, bez jego wiedzy wzięty, do sądu podaje, że aż już niema u niego robotnika, któryby w kozie nie był siedział. Dawne jej państwo nikogo nie skrzywdziło, do kościoła i spowiedzi świętej chodziło, ludzie u nich mieli jak w raju, chleba i okrasy poddostatkiem, bo poczciwe panisko z najlepszego zboża ordynaryę wymierzało, a każdy korzec z grzebieniem takim, coby był połowę drugiego napełnił.

Nie rachował też nikt ludziom snopków słomy, które brali sami do domów, ani pęków chrustu z pańskiego lasu, wszystko to było niby wspólne, ojca z dziećmi. A pani dziedziczka to już był anioł prawdziwy: po wsi chodziła, chorych odwiedzała, maleństwa, chociaż osmolone i brudne, na ręce brała i pieściła. Wtedy i Walentowa miała u niej dobry zarobek, kiedy ją do prania lub innej jakiej obsługi zawołano. Wracając stamtąd nietylko w garści trzymała srebrną zapłatę, ale dźwigała jeszcze koszyk pełen chleba, słoniny lub mięsa, a często nawet placek słodki dla dzieci lub rzeczy stare po pańskich dzieciach. Wszystko to teraz minęło, a minęło bezpowrotnie. Z dawnych pańskich zabudowań nie pozostało już ani śladu, a zato po całem polu czerwienieją domki niemieckich kolonistów.

Jakże to stać się mogło w tak krótkim czasie? Antka była właśnie wtedy chora i ani wierzyć nie chciała, gdy Bartłomiej jej przyszedł powiedzieć, że państwa już niema we wsi. Co też mogło naprawdę wygnać ich z ojcowizny tak bogatej? Zapewne także jakie kruczki tego Bismarka, inaczej bowiem biedna kobieta zagadki tej rozwiązać sobie nie umiała. Nie wiedziała, ani nawet nie przypuszczała, że właśnie ta dobroć jej dawnego państwa, ta rozrzutność dla siebie i dla drugich, ten brak dopatrzenia w gospodarstwie, którem

w oczach ludu tak korzystnie się różnili od takiego Kunzego, Niemca, spowodował ich ruinę. Tego Antka nie wiedziała i jeno się dopatrywała w tej sprawie podstępu Bismarka, więc dziwiła się nad potęgą jego, że on tak samo potrafi zgubić pana jak chłopa. Czasem, rozmyślając o tem na swem łożu boleści, dziwiła się, że też Pan Bóg na taką niesprawiedliwość pozwolić może, i bywało złe i gorzkie myśli a nawet wątpliwości różne przychodziły jej do głowy.

Od chwili jednakże, w której niedawno temu, czując się bardziej słabą, pojednała się na nowo z Bogiem i przyjęła Przenajświętszy Sakrament, myślała inaczej. Poczciwy ksiądz proboszcz tak dziwnie pięknie mówił wtedy do niej, taką śliczną dał jej naukę, że biednej kobiecie zdawało się, iż raj niebieski dla niej się otwiera. I ten biedny poczciwy ksiądz proboszcz także już cierpiał za Bismarka, jak jej sam na pocieszenie opowiadał, cierpiał przed laty za to, że obcego człeka spowiedzi wysłuchał w sąsiedniej parafii. To już po prostu nie do uwierzenia, co ten Bismark z ludźmi wyrabia. Na pół roku skazano wtedy księdza proboszcza do tego samego więzienia, w którem umarł Walek jej, jeno że Pan Bóg sługę swego zdrowo wyprowadził z tej niewoli, jako że za Boską sprawę krzywdę poniósł. A gdy ona się dziwiła, że Pan Bóg spokojnie na to patrzy i Bismarkowi tak broić

pozwala, pouczył ją ksiądz proboszcz, że drogi Boskiej Opatrzności są nieraz tak dziwne i zagadkowe, iż człek napróżnoby się silił je odgadnąć i zrozumieć. To też nie trzeba się o to kusić, jeno zdać się na Jego świętą wolę; on już każdego nagrodzi stosownie do zasług. Widać Pan Bóg tak chce, aby naród polski za dawne grzechy cierpiał. Bez cierpienia tu na ziemi nikt do nieba nie wejdzie, więc też i Antka powinna znosić z pokorą swój ból, jako wstęp do światłości niebieskiej. Tam znajdzie i ojca, któremu Bóg w swem miłosierdziu wybaczy ciężki grzech popełniony na własnem ciele dla cnotliwego zresztą życia całego, a napewno już Walka, i gdy już na wieki w weselu i radości w tej światłości Boskiej będą złączeni, to jej się ziemskie cierpienia wydawać będą tak lekkiemi, iż dziwić się będzie, że na nie narzekała. Dzieci? — co dzieci! Ten, który karmi ptaki w polu i przyodziewa lilie biedne, ten i jej dziatkom zginąć nie da. Ona zaś w niebie będzie tam lepiej mogła czuwać nad niemi i wyprosić u Pana nad Pany szczęśliwsze dla nich życie. Więc nie powinna narzekać, że ją Pan Bóg cierpieniem nawiedził, że może niedługo już rozdzieli ją z dziećmi i do siebie powoła, bo w nagrodę za te smutki ziemskie znajdzie tam szczęście wielkie, znajdzie Walka swego i starego ojca.

Tak mówił ksiądz proboszcz, a słowa jego wywołały we wrażliwym umyśle chorej rajskie widzenia. Zdawało się jej, że stoi przed wielkim cudownym ogrodem, pełnym przepięknych owoców i kwiatów, a oblanym światłem takiem, że aż ją oczy od patrzenia bolały. A wśród tej jasności ujrzała swego Walka, nie takiego bladego, wynędzniałego, jak go z więzienia przywiozła, lecz tego Walka dawnego, z miną zucha, jak wyciąga ku niej ręce i wołą ją ku sobie. A na twarzy jego taka radość, takie szczęście, że aż jej się żal zrobiło, iż jeszcze nie może pospieszyć do niego i uczestniczyć w jego szczęściu.

I od tej chwili dziwne uspokojenie ją ogarnęło. I myśl rozstania się z dziećmi mniej już straszną dla niej była. Czuła to ona dobrze, że życie jej dobiega kresu, że już dla tych dzieci nie może być czem innem, jak widmem choroby i śmierci, zatruwającem im młode życie. Chociażby i żyła, to dzieci odtąd na własną pracę skazane już były. Przy Bożej pomocy dadzą sobie radę. Stach na jesień ze szkoły wyjdzie, to i na Maryśkę zarabiać będzie. Przyrzekł jej zresztą Bartłomiej, że sieroty w razie jej śmierci do siebie weźmie i dalej wychowywać będzie, a Bartłomiej był jednym z tych, którzy więcej czynią, niż przyrzekają. Dzieci są dobre, posłuszne, cnotliwe, to i bez matki nie zginą.

Jedna tylko troska ją trapiła, że pozostawi je tu na ziemi zawsze jeszcze pod władzą tego Bismarka groźnego, na którego wspomnienie przejmował ją dreszcz trwogi. Ona, gdy ją Pan Bóg powoła, już będzie przed nim bezpieczną, bo w swoim wymarzonym raju nigdzie się Bismarka dopatrzeć nie mogła. Wnosiła zresztą i z wesołej miny Walka w owem rajskiem widziadle, że tam już widocznie nie sięgała władza potężnego człowieka. Ale dzieci, biedne dzieci jej, pozostaną tu na ziemi pod jego panowaniem. Żałowała teraz, że im tak często, zwłaszcza śmiałemu Stachowi, opowiadała o krzywdzie wyrządzonej przez Bismarka. Chłopak widocznie już się zaciął, a umiał być hardym i upartym, zwłaszcza względem obcych. Niechże Bóg strzeże, aby się przez to co złego mu nie stało, boć z Bismarkiem żartów niema. Dość by już było złego, gdyby go na jesień ze szkoły puścić nie mieli, bo dłużej na łaskę Bartłomieja byłby skazany. Jeszcze raz go jutro napomni, aby tylko był spokojny i ostrożny i by niczem nie narażał się temu mocarzowi.

Takie to myśli snuły się po głowie biednej kobiecie, gdy tak leżała na swem łożu cierpień. Całe jej życie stanęło jej żywo w pamięci ze wszelkimi szczegółami.

* * *

Z zadąsaną i strapioną miną, wolno, jakby niechętnie, szedł Stach nazajutrz do szkoły. Przystawając co chwilę, przyglądał się drzewkom i krzakom, których gałązki, lub łodygi pokryte już były zielonawo-czerwonymi pączkami Co parę kroków mijały go inne dzieci, zagadywały do niego, ale Stach albo wcale nie odpowiadał, albo tylko półsłówkami. Był on pilnym i pojętym uczniem, który nawet przy dzisiejszym sposobie uczenia niejedno pojął i zrozumiał; nauczył się nawet jako tako po niemiecku i przewyższał pod tym względem tak bardzo resztę polskich dzieci, że go zawsze za przykład stawiano. Jakkolwiek ta nauka i jemu sprawiała wielkie trudności, tak że nieraz gorzkiemi opłakiwał ją łzami, nie czuł on do szkoły i nauki takiej odrazy, jaką przepełnione były serca innych dzieci polskich, tych biednych ofiar zdrożnej polityki.

Dziś jednak szkoła mu się straszną wydawała. Mózg jego pracował gorączkowo i silił się na różne rozumowania. Przed chwilą pożegnał matkę, która dnia tego słabszą jeszcze była, niż wczoraj. Tylko na jej życzenie szedł do szkoły, choć sprawiało mu to przykrość niewymowną. Byłby raczej wolał iść na najcięższą robotę, z najnieprzyjemniejszą posyłką, niż pójść na ten *fest* dla Bismarka, tego

Bismarka, z którego ramienia tyle nieszczęść spadło na jego rodzinę. Stach był chłopakiem nad wiek swój mądrym, rozwiniętym i odznaczał się niezwykłą łatwością trafnego odgadywania nawet takich zagadek życiowych, które wybiegały daleko poza zakres wiedzy, myśli i uczuć dziecięcego jego wieku. Gdyby nie fałszywa nauka, która w zarodku już przytłumia ciężkim kamieniem wrodzoną zdolność polskich dzieci, byłby Stach może w większej jeszcze mierze zwrócił uwagę na siebie niezwykłemi zdolnościami. On wiedział ze szkoły, kto to jest ten Bismark, w jego oczach nie była to postać taka na pół cudowna, wiedząca o wszystkiem, uosobienie potęgi, grozy i kary, jak go sobie wystawiała jego matka. On widział w nim tylko człowieka, — wprawdzie potężnego, ale zawsze tylko człowieka, który z niewiadomych mu powodów tak się zawziął na lud polski w ogólności, a na jego rodzinę w szczególności, — człowieka, którego mu przynajmniej wolno było nienawidzieć, a w danym razie przeciwko niemu się zbuntować. Wszelkie szczegóły dotyczące smutnej śmierci dziada i ojca dobrze mu były znane, bo nie raz, ale sto razy słyszał je z ust matki, która, w braku innych przyjaciół, jego czyniła powiernikiem swoich żalów. Pamiętał on zresztą obu, tak dziada jak i ojca, bo gdy zaszły opisane wypadki, liczył Stach już cztery lata blisko. Umysł i pamięć dziecka,

czułe na każde wrażenie, zachowują te wrażenia w wielkiej świeżości, dłużej, niż umysł i pamięć ludzi dorosłych. To też i Stach widział jeszcze przed sobą wyraźnie uśmiechnięte wesołe oblicze ojca, pamiętał, jak tenże brał go na ręce, na konia wsadzał, lub na wozie obok siebie trzymał, gdy na pole wyjeżdżał.

Pamiętał także i wyraz twarzy dziada, tego drogiego piastuna swego. Wiedział dobrze, że gdy oni jeszcze żyli, inaczej wyglądało w ich chacie i weselej w niej było. Dziad zginął marną śmiercią, ojciec umarł zdala od nich w więzieniu, szczęście rodzinne i dobrobyt przepadły bezpowrotnie, matkę choroba dobijała, a wszystko to z winy tego jednego potężnego człowieka. Słuchając bajek o strasznych czasach, zaklętych królewiczach, lub olbrzymach, co dęby rwali i góry obalali, życzył sobie Stach gorąco takiej siły olbrzymiej, aby mógł pomścić się za zmarłych i za całą matki niedolę. Co więcej, uważał to nawet za swój obowiązek synowski. A gdy po raz pierwszy zobaczył w szkole obraz tego mocarza, zacisnął mimowoli pięści i długo, długo w tę twarz groźną się wpatrywał, jakby ją chciał dokładnie wbić sobie w pamięć, aby jej już nigdy nie zapomnieć. Chwilowo jeszcze milczał, bo czuł się słabym, ulegał zresztą przestrogom matki, która bezstronnie, wskazując na smutny koniec ojca, ostrzegała syna, aby już niczem, ni-

czem tego srogiego władcy sobie nie zraził. Nieraz też rumienił się z wielkiego oburzenia, gdy nauczyciel wychwalał tego Bismarka i kazał sobie pochwały te innym dzieciom powtarzać. Szczęśliwy przypadek zrządził, że jego nigdy los ten nie spotkał, bo już dawno może byłby zrobił małą awanturę. Zresztą nie miał powodu się skarżyć. Jego lata szkolne przypadły na czas, w którym Bismark pozbawiony urzędu i łaski cesarskiej kończył życie w swem ustroniu i stamtąd ciskał gromy na następcę swego, a nauczyciel Stacha, sprowadzony z zachodu Niemiec, oglądający się na wiatr, wiejący z góry, nie uważał dotychczas za stosowne lub pożyteczne wychwalać Bismarka bardziej, niż tego plan nauki wymagał. Dopiero w ostatnich dniach otworzyły mu się usta, i przygotowując niby dziatwę na zapowiedzianą uroczystość, opowiadał jej o Bismarku, o jego wielkości i szlachetności całemi godzinami, aż się Stachowi krew ścinała w żyłach i ledwie na ławie mógł usiedzieć. Czasem nawet aż go coś pchało gwałtem, aby podskoczyć i wrzasnąć: „to wszystko nieprawda!“ i tylko z niezwykłym wysiłkiem woli, na myśl o matce, trzymał język swój na wodzy. Dziś zapewne jeszcze stokroć gorsze czekały go męki, więc też z trwogą okrutną wlókł się ku szkole.

Że też to uległ woli matczynej! Kochał on ją tak bardzo, że jej wprost w oczy niczego od-

mówić nie mógł. Jak często w takich razach się zdarza, biedna wdowa uważała syna za swego najzaufańszego przyjaciela i wcześnie wpoiła w niego mniemanie, że jemu po ojcu przypadł obowiązek opiekowania się matką i młodszą siostrą. Stosunek między matką a synem był też nadzwyczaj serdeczny. Stach nietylko kochał matkę, ale litował się nad jej niedolą, niemocą i cierpiał z nią razem. Czuł on w duszy, że matka może już niedługo będzie z nimi, więc też usilnem jego staraniem było osłodzić jej każdą godzinę. Z jakąż radością oddawał on jej pierwsze zarobione pieniądze! Całemi godzinami mógł siedzieć przy jej łóżku i z nią rozmawiać; nie wabiły go zabawy rówieśników. To też wczoraj wystarczyła jedna łza matki, aby złamać jego opór.

Teraz atoli, gdy matki przy nim nie było, i gdy coraz bardziej zbliżał się do budynku szkolnego, brała w nim gorycz górę. Wszelkie krzywdy, wyrządzone rodzinie, żywo stanęły mu w pamięci i młoda dusza zadrżała z oburzenia, że teraz sprawcy tych krzywd nawet honory oddawać będzie musiał. Machinalnie kroczył przed siebie znajomą dobrze ścieżką, jak gdyby miał przeczucie, że stanie się dziś coś nadzwyczajnego.

* * *

Szkoła była już przepełniona, nauczyciel lada chwilę mógł się ukazać. Stach wsunął się cicho na swe miejsce w tylnej ławie i czekał. Izba szkolna nie wesoły przedstawiała widok; brakło w niej tego tchnącego dziecięcą żywością i swobodą ruchu i życia, które dziwnym urokiem zwykle otaczają szkołę; wesołemi były tylko oblicza wypasionych, rumianych, a jeszcze nie licznych dzieci świeżo sprowadzonych kolonistów niemieckich, które rozmawiały między sobą jakiemś niezrozumiałem narzeczem niemieckiem. One to razem z dziećmi nauczyciela przystroiły szkolną izbę zielenią. Między nią a dziatwą polską, cicho i bojaźliwie siedzącą na ławach, żadnej prawie nie było łączności, i łatwo przewidzieć było można, że nigdy jej nie będzie. Były to ciała tak odrębne twarzą, myślą i ruchem, że o zupełnem ich zlaniu się ani mowy być nie mogło.

Wreszcie drzwi się otwarły i ukazał się nauczyciel. Był to człowiek średniego wieku, suchy, wygolony, z surowym i energicznym wyrazem twarzy. Podszedł do katedry, zapisał coś do dziennika, przeszedł się parę razy po pokoju, pochwycił z przyzwyczajenia długi pręt trzcinowy, leżący na katedrze i zaczął się nim bawić, spoglądając uważnie na twarze swych uczniów i uczennic. Ileż

to par oczek dziecięcych spoglądało na tę jego zabawkę podejrzliwem, niespokojnem okiem! Toć dla nich głównie przeznaczone było to niezbędne narzędzie nowoczesnego pruskiego wychowania i wieleż razy biedactwa te zawarły już z niem nieprzyjemną znajomość. Potem zaczął pan nauczyciel mówić długo i obszernie o Bismarku i jego czynach, o cesarstwie niemieckiem, o wojnach i srogich bitwach, a słowa jego płynęły niby struga pochwał dla sławy wielkiego kanclerza. Dzieci niemieckie słuchały ciekawie i uważnie, z otwartemi ustami, polskie niewolniczo patrzały na usta nauczyciela, a ledwie ich część rozumiała nieco to, co mówił, wszystkie zaś drżały na myśl, co to będzie, gdy pan nauczyciel każe sobie powtórzyć tę długą naukę, lub chociaż tylko się zapyta, co opowiadał. Z wrastającym też niepokojem śledziły szybki ruch trzciny, która w miarę, jak rósł patryotyczny zapał zimnego zwykle nauczyciela, ze świstem złowrogim przecinała powietrze.

Tylko Stach miał głowę spuszczoną i patrzał przed siebie, jakby nieprzytomny. Twarz jego aż gorzała rumieńcem, a oczy pałały dziwnie złowrogim ogniem. Nie uszło mu ani jedno słowo nauczyciela, a gdy tenże zaczął opowiadać o rodzinie Bismarka, o jego synach i wnukach, o szczęśliwem pożyciu rodzinnem, chwyciło chłopca coś za gardło, tak że zdawało mu się, iż się udusi.

Łzy gwałtem cisnęły mu się do oczu, ale je połykał, aby nie okazać swego wzruszenia. I znów go ogarnęła wątpliwość w miłosierdzie Boże.

Wreszcie nauczyciel skończył wykład i odchrząknąwszy, odezwał się z namaszczeniem:

— A teraz, dziatki moje, powstańcie z miejsc i zmówcie ze mną modlitwę, aby Pan Bóg tego najlepszego męża jak najdłużej ojczyźnie naszej zachować raczył.

Jakby na komendę cała klasa stanęła na równe nogi. Tylko Stach ani się ruszył.

Nauczyciel spostrzegł to i zmarszczył brwi.

— Kępa! — zawołał groźnie — czyś nie słyszał?

Stach nic nie odpowiedział. W głowie mu szumiało, ale jedna myśl trzymała całe jego ciało na uwięzi: „On za tego, który mu dziada i ojca zabrał, który ich w nędzę pogrążył, z którego winy matka tak srodze cierpiała, modlić się nie będzie; on nie będzie prosił Boga, aby dłużej jeszcze zachował przy życiu tego, który nie miał nad niemi litości, na którego wspomnienie matka łzami się zalewa“. Wszystkie napomnienia jej uleciały nagle het, daleko, a pozostał tylko niemy lecz hardy upór obrażonego w swych najświętszych uczuciach dziecka. Chwilami zdawało mu się, że stanie się teraz coś strasznego, że cała klasa się obraca około niego; czuł wielką żałość i gniew jeszcze większy, a tylko jedno uczucie nie miało przy-

stępu do niego: trwoga. Coś mu zamigotało przed oczami, widział niby twarz ojca, która zdawała się mu mówić: „Śmiało, Stachu! śmiało! — pokaż, żeś wiernym synem moim, że mnie i w grobie miłujesz!“

Wtedy chłopak bardziej jeszcze skurczył się i nachylił, a rękami silnie chwycił się brzegu ławki, jakby obawiał się, aby go przemocą od niej nie oderwano. Nauczyciel zbliżył się do niego.

— *Kępa! hast du nicht gehört?* *) — wołał ponownie podniesionym głosem. — Dlaczego nie wstajesz?

Stach ani nie odpowiedział, ani się nie podniósł.

— *Was?* — krzyknął nauczyciel, już teraz z gniewem wielkim. — Co to ma znaczyć? — Czy słuchać nie chcesz? A może ty nie chcesz się modlić za Bismarka?

Stach nie ruszał się...

— *Unerhört! Diese Frechheit!* — zawrzasnął wielkim głosem nauczyciel. — *Warte nur! ich werde dich schon auf die Beine bringen!* **)

I przy tych słowach trzcina świsnęła kilka razy w powietrzu i z wielką mocą spadała na plecy biednego chłopca. A snać uderzenia te były bardzo dotkliwe, bo ból odbił się wyraźnie na

---

*) Czyś nie słyszał?

**) Niesłychana rzecz! Co za zuchwałość! Czekaj! Już ja cię zmuszę powstać!

twarzy Stacha, ale mimo to chłopak ani nie drgnął, jeno silniej jeszcze uchwycił się ławki.

— *Da hört aber alles auf!* *) — syczał teraz nauczyciel, cały siny od gniewu. — Zaraz mi odpowiesz, dlaczego nie chcesz wstać, dlaczego nie chcesz się modlić, kto cię zbuntował? — Może matka?

Ledwie wymówił to słowo i zanim jeszcze trzcina ponownie dotknęła ramion Stacha, zerwał się tenże z ławki, pałające gniewem oczy wlepił w nauczyciela i zawołał na cały głos:

— Nikt mnie nie zbuntował, ale ja się za Bismarka modlić nie będę.

Twarz nauczyciela stała się z sinej czerwona, z czerwonej blada. Takiego oporu nie spodziewał się, zwłaszcza ze strony jednego z tych onieśmielonych i pognębionych dzieci polskich. Ale trwało to ledwie kilka sekund. Wnet ochłonął ze swego zdumienia i tem większą zapałał złością, widząc, że ma przed sobą jawnego buntownika, nietylko przeciwko swej powadze, ale o zgrozo, przeciw powadze Bismarka i całej reprezentowanej przez niego niemczyzny.

Więc lewą ręką chwycił chłopaka za kołnierz, gwałtownem szarpnięciem wyciągnął go z ławki, i znów trzcinę podniósł w górę.

— A dla czego? dla czego?

---

*) Ustaje cierpliwość!

— Bo Bismark sprawił, że mój dziad się powiesił, a ojciec umarł w więzieniu; bo on taki zawzięty na cały naród polski, i radby wszystkich tak zgubić, jak nas zgubił...

Jeszcze większe zdumienie odbiło się teraz na twarzy nauczyciela. Odpowiedź chłopca zmięszała go poniekąd. Puścił więc kołnierz, spuścił wzniesioną już do uderzenia trzcinę i zapytał spokojniej:

— Kto ci to powiedział?

— Sam wiem, — nikt mi tego mówić nie potrzebował.

— *So! so! da haben wir's, so werden die Kinder aufgewiegelt!**) No zaraz mi powiedz całą prawdę, kto ci takich głupstw nagadał? Kto cię zbuntował? Matka?

— Nie! — wrzasnął teraz Stach i przybrał postawę prawie wyzywającą.

— Ksiądz?

— Nie!

— A więc kto!

— Nikt!

— Zaraz mi powiedz!

— Niema co powiadać!

Twarz nauczyciela znów posiniała, trzcina znów wzniosła się w górę.

Lecz Stach ani drgnął, jeno wciąż patrzał

*) Tak! tak! Otóż mamy, tak to buntuje się dzieci!

śmiało w oczy przeciwnika. Pierś poruszała się przyspieszonym oddechem, a ręce rozpaczliwie zacisnął w pięści. Pięknym był w tym uporze swoim ten ubogo ubrany chłopiec wiejski.

W całej klasie panowała cisza, jakby kto makiem posiał. Na twarzach niemieckich dzieci malowała się ciekawość wielka, co też z tego wyniknie, twarze dzieci polskich okazywały niewolniczy strach. Tylko tu i owdzie dostrzedz było można u starszych chłopców wyraz współczucia dla młodego śmiałka. Niejednemu tam może żywiej serce w piersi zabiło, niejeden radby był krzyknąć na całe gardło: „Śmiało, Stachu! śmiało! my z tobą!“ — ale kilkoletnia nauka, podtrzymywana trzciną i strachem, zrobiła swoje. Męczone bezowocną nauką, która serce i duszę pozostawiała odłogiem, wyrastały dzieci te nie na obywateli, ale na niewolników, dla których podobna śmiałość była czemś zupełnie niepojętem.

Dzieci nie miały zresztą czasu na długie zastanawianie się, bo znów posypały się razy na głowę i ramiona Stacha, a jednocześnie krzyczał nauczyciel:

— Ja ci powiem lepiej, jak to było. Twój dziad był przybłędą ze świata, który tu żył nieprawnie i Niemcom chleb wyjadał. Wolał się powiesić, niż wrócić do swej pięknej ojczyzny rosyjskiej, a twój ojciec był buntownik, który słu-

sznie ukarany został za to, że przeciw władzy królewskiej się stawiał i obraził największego męża niemieckiego. Jeden i drugi doznał tego, na co zasłużył!

— Nieprawda! nieprawda! — krzyczał teraz i Stach, a uniesiony bólem i gniewem podniósł ręce w górę, jakby zamierzał niemi bronić dobrej sławy zmarłych.

— *Was!? Auch das noch!* *) — ryknął na to nauczyciel, nie zdolny już zapanować nad sobą. Ty buntowniku jakiś, ty mi śmiesz grozić? Poczekaj, poczekaj! I bijąc i krzycząc na przemianę, zawlókł teraz Stacha za kołnierz aż ku katedrze, poczem pchnął go w sam kąt izby szkolnej.

— Tu stój! — wołał wściekłym głosem — boś niegodny siedzieć między temi posłusznemi i dobremi dziećmi. Tu stój, a potem się jeszcze raz rozmówimy.

Chłopak nic już nie odpowiedział. Stał spokojnie w ciemnym kącie ze spuszczonemi oczyma, z zaciśniętemi zębami. I choć teraz ból wziął górę nad oburzeniem, chociaż wyciśnięte nim łzy jak groch spadały po jego twarzy, ani syknął, ani jęknął.

Nauczyciel tymczasem przeszedł się kilka razy po pokoju, uspokoił się, wysapał, potem ponurym głosem odmówił „modlitwę“, którą dzieci, do po-

*) Jakto! Jeszcze i to!?

łowy naturalnie strasznie pokoszlawioną niemczyzną, chórem za nim powtarzały. Potem zaśpiewano jeszcze patryotyczną pieśń niemiecką i uroczystość była skończoną. Być może, że byłaby się przeciągnęła jeszcze dłużej, ale nieprzyjemne zajście ze Stachem popsuło panu nauczycielowi humor i ostudziło zapał. Więc rozpuścił dzieci do domu, jeno Stacha sobie zatrzymał, aby dokonać rozpoczętego badania i męczenia.

* * *

Gdy już ostatnie z dzieci zniknęło za drzwiami, przystąpił nauczyciel do Stacha i pozornie spokojnym głosem rzekł:

— Pozostaniesz tu tak długo, dopóki mi nie powiesz, kto cię zbuntował i dopóki nie zmówisz modlitwy za Bismarka!

Stach nic nie odpowiedział.

— Idź na swoje miejsce i namyśl się dobrze — ciągnął dalej. — Za pół godziny przyjdę. Jeżeli nie powiesz, posiedzisz tu do sądnego dnia.

Mówiąc to, opuścił pan nauczyciel klasę i zamknąwszy drzwi na klucz, poszedł na drugą stronę domu, do mieszkania swego na śniadanie.

* * *

Tymczasem chora Antka rozmyślała znowu nad niedolą swoją. Dziwnie jej jakoś dzisiaj było na sercu i jakiś niezwykły niepokój ją ogarniał. Rozbudzone wczorajszą rozmową wspomnienia odżyły na nowo w jej pamięci. W nocy, podczas przerywanego częstym kaszlem snu, ledwie oczy zamknęła, zaraz śniła o Walku i ojcu, i coraz to nowe, a piękniejsze oglądała widzenie. Gdy się nad ranem zupełnie obudziła, czuła w sercu swem ogromną tęsknotę za obu zmarłymi. Oj, radaby ona już co rychlej połączyć się z nimi na wieki! Czuła się dziś zresztą znacznie słabszą i coraz częściej przychodziło jej do głowy, że to pewnie już i koniec się zbliża.

Niech się dzieje wola Boża! myślała. Radabym jeszcze pożyła do jesieni, aby przynajmniej doczekać się tego, że Stach wyjdzie ze szkoły, z tej bismarkowskiej, niemieckiej szkoły! Ale Bóg wie co robi! Zresztą niema obawy, iżby go zatrzymać w niej mieli dłużej. Toć poszedł dzisiaj na urodziny Bismarka i przez to pokazał panu nauczycielowi, że nijakiej nienawiści do tego mocarza w swem sercu nie żywi.

Tak medytowała chora, popłakiwała czasem po cichu, lub zamieniała kilka słów z Maryśką,

krzątającą się po izbie. Ale niepokoju wewnętrznego jakoś pozbyć się nie mogła.

Tymczasem zbliżyła się jedenasta. Maryśka usłyszała wrzawę dzieci wracających ze szkoły i zaraz doniosła matce, że i Stach pewnie lada chwilę wróci. Ale minęła godzina, a Stacha widać nie było. Niepokój chorej wzrastał.

— Gdzie też ten Stach przebywa — odezwała się do Maryśki — przecie chyba wprost do Bartłomieja na robotę nie poszedł. On jużby sobie tego nie odmówił, aby wpierw nie zobaczyć, co się ze mną dzieje. Czyś aby dobrze widziała, że dzieci wracały?

— Dobrze widziałam, matulu!

I znów minęło pół godziny.

— Co się też temu Stachowi stać mogło? Byle tylko nie popełnił czego złego! On taki był wczoraj zawzięty, tak niechętnie szedł dziś do szkoły. Jeszcze gotowi go nie puścić na jesień! Maryśka! Skoczno do Bartłomieja i spytaj się dzieci, co się ze Stachem dzieje? — rzekła wreszcie do córki.

Maryśka szybko wybiegła z izby.

Może kwandrans upłynął, zanim dziewczę wróciło, a wróciło z głośnym płaczem, który już z daleka oznajmiał chorej, że stało się coś złego. Wnet też Maryśka, nie mogąc się uspokoić i nie bacząc na stan matki, opowiedziała dokładnie

zajście w szkole, o którem się dowiedziała od Bartłomiejowych dzieci.

Opowiadanie to wywarło na chorą straszne wrażenie. Zaraz po pierwszych słowach, gdy tylko usłyszała o co chodzi, i za co nauczyciel zbił jej syna, podniosła się na posłaniu z nadzwyczajnym wysiłkiem, i w siedzącej postawie słuchała końca. Powoli twarz jej przyoblekała się rumieńcem, i zdawało się, że wraz z rumieńcem tym wracają i jej dawne siły.

— I bił go bardzo? — pytała.

— Oj! bardzo, matulu, bardzo! — opowiadał Franek, — że aż się niemieckie dzieci litowały.

— I znowu za Bismarka?

— A jużci!

— I zatrzymał go w klasie?

— Zatrzymał!

— I pewnie jeszcze srożej bić go będzie?

— A pewnie...

— Maryśka!

— Co, matulu?

— Podaj mi moją spódnicę i kabat...

— Co robicie? matulu! — zawołało dziewczę z przestrachem, widząc, że matka chce wstać.

— Pójdę sama po Stacha, bo mi go tam jeszcze zabiją. Nie dość im ojca, teraz jeszcze i syna biją za onego Bismarka! Muszę iść, sły-

szysz? — dodała, ponieważ Maryśka spoglądała na nią dużemi oczami, a nie ruszała się wcale. — Muszę go namówić, aby spokorniał, bo i on tak samo zmarnieje, jak zmarnieli tamci, i ty, biedna, sama pozostaniesz na świecie. Pewnikiem go za to na jesień nie puszczą.

— Ale matulu! matulu! Wy przecie iść nie możecie!

— Pójdę sama, dziecko moje, Bóg mi doda siły, a ty mnie poprowadzisz. Kogo innego Stach nie usłucha. Daj mi rękę!

I stała się rzecz dziwna. Ta chora, która przed chwilą jeszcze ręki podnieść nie mogła, która lada chwilę oczekiwała śmierci, ta chora ubierała się teraz sama, z gorączkowym pospiechem, z niebywałą w ostatnich czasach mocą. Rumieniec na jej policzkach stawał się coraz czerwieńszy, oczy coraz bardziej pałały, oddech zaś z piersi wydobywał się z głośnym świstem.

Maryśka spoglądała na matkę z niemem zdziwieniem, osłupiałym wzrokiem, i machinalnie podawała jej suknie.

Gdy chora jako tako się przyodziała, postąpiła kilka kroków na środek izby; szło to jakoś, choć widocznie z ogromnym wysiłkiem. Wtedy chora podała rękę Maryśce a drugą ująwszy sękaty kij, pamiątkę po mężu, kazała się córce ku szkole prowadzić.

Ludzie na drodze przystawali i spoglądali zdziwieni na nią, jakby na zjawisko jakie z tamtego świata, bo Antka więcej już była do trupa podobną, niż do żywej istoty. Niektórzy zagadywali do niej i radzili, aby się lepiej tak nie męczyła, ale ona nic nie odpowiadała, jeno patrząc pałającym zwrokiem przed siebie, wlokła się przy pomocy córki powoli ku szkole.

* * *

Stach siedział jeszcze na swem miejscu na tylnej ławie, ręce miał splecione i ponurym wzrokiem wodził po klasie. Na katedrze siedział nauczyciel i pisał coś pilnie. Był to raport do wyższej władzy o niesłychanem zajściu, które mogło przecie być tylko owocem polskiej agitacyi. Dwa razy zapytywał się on w dobroci Stacha, czy chce się przyznać, kto go podburzył i czy chce powtórzyć modlitwę, ale chłopak oba razy przecząco głową poruszył. Za każdą razą twarz nauczyciela czerwieniła się z gniewu, za każdą razą ręka chwytała za trzcinę, ale zawsze umiał się pohamować i sądził, że w inny sposób złamie opór nieposłusznego ucznia. Takiemu młodzikowi jeno czas zostawić do namysłu, a zazwyczaj skruszeje.

Co się działo w tym czasie w duszy młodego

przestępcy? Oj, ciężką biedny chłopak staczał ze sobą walkę. Najbardziej żal mu było, że nie może iść na zarobek i matce chociaż kilku groszami dopomódz. Na jej wspomnienie uczuwał wielką żałość w sercu. Jakże się ona zmartwi, gdy się dowie o wszystkiem, Walczył w nim upór i obrażone uczucie synowskie z rozumem i przywiązaniem do matki. Były chwile, że to ostatnie brało górę w sercu jego, zwłaszcza, gdy sobie przypomniał ranne napomnienia. Z jakim to niepokojem biedna matka musi tam teraz oczekiwać jego powrotu... Już się chciał odezwać, już chciał oświadczyć gotowość powtórzenia owej modlitwy, ale za każdą razą stawał mu przed oczyma biedny ojciec, nie taki wesoły, uśmiechnięty, jakim był zawsze dla niego, ale owa trupia, blada twarz jego, skrzywiona cierpieniem i chorobą, jaką widział był w trumnie, a która silnie utkwiła mu w pamięci. Przytem głos jakiś szeptał mu ciągle: nie ustępuj, nie upokarzaj się, pomnij na biednego dziadunia, na nieszczęśliwego twego ojca, na tę zniewagę, jaką ci nauczyciel przed chwilą wyrządził.

Biedny chłopiec staczał pierwszą z sobą walkę wewnętrzną, tę najtrudniejszą z walk życiowych, zwłaszcza w razach takich, gdy niepewni jesteśmy, czy uledz sercu, czy rozumowi.

Stach nie upokorzył się; siedział i gryzł się,

i martwił, a od czasu do czasu łzy mu spływały po twarzy.

Nagle drgnął na całem ciele i poruszył się gwałtownie; zdziwienie i niepokój odbiły się na jego twarzy. Ze sieni doleciał go szelest posuwanych wolno kroków i dobrze mu znany suchy, chrapliwy kaszel chorej matki.

Przerażony wstał z ławki i ze drżeniem spoglądał ku drzwiom. Nauczyciel podniósł głowę i także nadsłuchiwał. Wtem drzwi się otworzyły i na progu klasy stanęła Antka. Jedną ręką trzymała się drzwi, drugą wsparła na ramieniu córki. Twarz jej, wynędzniała, teraz w pełnem świetle dziennem jeszcze mizerniejszą się wydawała. Zapadłe głęboko oczy szukały syna, a znalazłszy go, spoczęły na nim z wyrazem wielkiej macierzyńskiej miłości. Czyż się miała gniewać na tego syna, który z miłości dla ojca nie uląkł się kary, ani upokorzenia? Nie, litowała się ona jeno nad nim, serce jej pękało z bólu i strachu, że będzie on nową ofiarą srogiego mocarza i ten przestrach malował się wyraźnie na jej twarzy. Zdawało się, że w tej suchej, prawie przeźroczystej postaci, niema już nic ludzkiego, że to jakaś mara, która z trumny powstała. Z syna przeniósł się wzrok jej na nauczyciela i przybrał wyraz tak gorzkiego wyrzutu, że nauczycielowi zamarły na ustach

szorstkie wyrazy, któremi chciał powitać kobietę za nieprawne wtargnięcie do szkoły.

— Matulu! matulu! — zawołał Stach, ujrzawszy ją w progu, i do nóg jej przypadł i ręce jej pochwycił i całował, a przytem zaszlochał takim płaczem okrutnym, jakby się w nim wszystko rwało z żalu. Natura dziecka, szukająca u matki ukojenia, pomocy i opieki, ozwała się nagle z całą siłą i przytłumiła wszelkie inne uczucia.

Nauczyciel stał przed katedrą widocznie zakłopotany. Przypatrzywszy się bliżej Antce, przeraził się jej widokiem. Więc zdobywając się na najłagodniejszy, o ile możności głos, zapytał się:

— *Was wollen Sie?* *)

Lecz biedna matka nie odpowiedziała na to pytanie. Oparta o ścianę, tuliła do wyschłej piersi głowę płaczącego dziecka i mówiła drżącym głosem...

— Już się nie upieraj, mój Stachu... zrób co ci każą... pomódl się za niego. Toć i Pan Jezus modlił się za tych, którzy go krzyżowali... Zrób to dla mnie, dla chorej twej matki... abym spokojniej umrzeć mogła... Już niedługo... pójdę do waszego ojca... to mu powiem, jak dobrego ma syna... jak go bronisz i miłujesz... Ale ciebie muszą puścić na jesień, abyś mógł pracować

*) Czego sobie życzycie?

na siebie i na siostrę... Już zrób, co ci każą... oni i tak mają moc wielką... Tyś biedaku jeno prochem w ich ręku... i przyszłoby ci tak skończyć, jak skończył twój ojciec... Nie upieraj się, zrób to dla mnie... dla Pana Jezusa, który twego ojca wziął do swej chwały...

A potem, zwracając się do nauczyciela, rzekła dobitnie i z wielką mocą:

— A jemu nikt tego nie podpowiedział, jeno chyba podpowiedziała mu to owa krzywda wielka, jaką nam wyrządziliście...

I łagodne napomnienie matki dokonało tego, czego kij i groźba sprawić nie mogły.

— Już zrobię! zrobię! wszystko co każecie, jeno wy, matulu, idźcie do domu, do łóżka, bo jeszcze bardziej zachorujecie... i to z mej winy.

I odwróciwszy się nagle, pobiegł do katedry, stanął przed zawsze jeszcze zakłopotanym nauczycielem i bez podpowiadania bełkotał, zalewając się łzami, słowa modlitwy, o ile mu one utkwiły w pamięci:

— „....*und Gott erhalte noch lange unseren Bismark, den grossen, den guten, den edlen*...“ *)

— *Schon gut* — odezwał się nauczyciel, rad, że tak się zakończyła ta awantura i pragnąc jak najrychlej pozbyć się widoku chorej, który dzi-

---

*) Boże zachowaj jeszcze długo naszego Bismarka — wielkiego, dobrego, szlachetnego...

wnym przejmował go strachem... — *Kannst gehen!* *)

Ale chłopak uniósł się znów wielkim płaczem, aż się trząsł cały, zakrył sobie oczy rękoma, jakby zbrodnię jaką popełnił i zataczając się jak pijany, wolno wracał do matki.

Nim doszedł, stało się coś strasznego. Wynędzniała postać Antki zaczęła się nagle chwiać i słaniać jak trzcina wiotka, poruszana wichrem. Próżno starała się Maryśka podtrzymać słabnącą. Rumieniec znikł z jej twarzy, za to pojawił się na ustach w postaci krwawych kropli, które wnet buchnęły strumieniem. Ten wysiłek, to wzruszenie, za wiele było dla chorej. Ostatkiem woli, trwogą i miłością macierzyńską podtrzymywane siły, opuściły ją teraz zupełnie i powoli się chyląc padła na wznak na ceglaną posadzkę sieni, aż głowa jej głośno uderzyła o kamień.

Krzyknęła Maryśka, wrzasnął przeraźliwie Stach i ku matce poskoczył. I pan nauczyciel zawołał: *Herr Gott!* i na ratunek pospieszył — ale ratunek wszelki był już daremny. Z ciężkim jękiem uleciała dusza biednej polskiej chłopki-męczennicy ku lepszej krainie, pomnażając niemałą liczbę ofiar Bismarka...

Pochylony nad nią ryczał Stach z żalu i bez opamiętania całował ręce matki i wołał ją i bła-

---

*) Dobrze... możesz iść!

gał, aby otworzyła oczy i przemówiła do niego... W uszach biednego chłopca brzmiały ciągle jeszcze, niby szyderstwo z jego niedoli, słowa odmówionej co dopiero modlitwy: *Gott erhalte noch lange unseren Bismark, den grossen, den guten, den edlen!...*

* * *

Pan Bóg, ważąc na swej szali zarówno zasługi możnych jak i maluczkich, słyszał tę modlitwę Stacha i zapewne nie zapomni o niej, gdy do sądu zasiędzie...

* * *

Pisałem w więzieniu pruskiem w marcu 1895 roku.

J. K. Maćkowski.